

Armia Czerwona o jakiej nie myślicie

23 lipca 2017

Przywykliśmy nazywać żołnierzy radzieckich „czerwoną zarazą”. Kojarzą nam się głównie z mordami, gwałtami, grabieżami i pijaństwem. Łatwo jest zapomnieć, że po drugiej stronie przysłowiowej barykady stali ludzie często nie mniej skrzywdzeni przez wojnę.

Skala walk na froncie wschodnim II wojny światowej ciężka jest dziś do pojęcia. Szacunkowe statystyki mówią same za siebie – na początku konfrontacji w czerwcu 1941 roku zaangażowanych było łącznie ponad 6 milionów żołnierzy niemieckich i radzieckich, rozlokowanych na liczącej sobie więcej niż 1600 kilometrów linii. Kolejne dwa miliony z Dalekiego Wschodu miało przybyć w ciągu następnych paru tygodni. W latach 1939-1945 przez Armię Czerwoną przewinęło się łącznie około 30 milionów walczących. Równie niewyobrażalna jest wielkość strat. Do grudnia 1941 roku, w ciągu zaledwie 6 miesięcy, czerwonoarmiści stracili 4,5 miliona osób. Niemcom nie starczało wartowników i drutu kolczastego, aby należycie upilnować 2,5 miliona jeńców, schwytanych w tym okresie. Większość z ujętych zginęła z resztą z powodu skrajnie ciężkich warunków przetrzymywania, bądź bezpośrednio z ręki najeźdźcy. Kadra oficerska, abstrahując oczywiście od czystek przeprowadzanych przez Stalina, również nie mogła czuć się bezpiecznie. Straty wśród niej dosięgały 35 procent – czternastokrotnie więcej niż w wojsku carskim w czasie I wojny światowej.

Do końca walk ZSRR stracił 27 milionów mieszkańców, z czego 8 milionów to zabici żołnierze. Przekracza to łączną liczbę strat po wszystkich stronach konfliktu z lat 1914-1918. A dane te nie uwzględniają jeszcze większej ilości rannych i zaginionych. Armia Czerwona w okresie walki z nazistowskimi

Niemcami co najmniej dwukrotnie została niemal całkowicie wyniszczona i odbudowana od podstaw. Pewien rekrut stwierdził, że była „maszynką do mielenia mięsa”. Inny żołnierz komentował „wyszkolili nas, wysłali i zabili”.

WYCHOWANIE DO WOJNY

„Wyszkolić” należało najpierw samo społeczeństwo – dopiero wtedy można było spodziewać się powołania uformowanych ideologicznie rekrutów. Władza radziecka dbała pieczołowicie o taką formację na wiele lat przed wybuchem wojny. Jeden z niemieckich oficerów, opisując swoje doświadczenia, opowiadał na przykład o wielkiej mapie Europy, wiszącej w każdej rosyjskiej klasie. Na niej jaskrawoczerwonym kolorem zaznaczone było wielkie terytorium Rosji, a w czerni i bieli przedstawiano, kontrastujące z nim rozmiarem, pozostałe tereny europejskie. Odkąd dzieci były w stanie składać pierwsze litery w słowa i zdania, uczono je o rewolucji, Stalinie, kazano im recytować propagandowe wiersze, wpajano wdzięczność dla państwa i gotowość do obrony kraju. Miłość do ojczyzny oznaczała bowiem walkę za Rosję w wypadku jej zagrożenia.

Od 1938 roku wizja starcia z Niemcami stawała się coraz bardziej realna i ludzie z trwogą zaczęli zastanawiać się, jak będzie wyglądała ta przyszła konfrontacja. Odpowiedzi udzielały chętnie oglądane i kojące duszę propagandowe filmy. Według nich wojna nie miała toczyć się na terytorium ZSRR. Zaatakowana Rosja miała odpowiedzieć z całą mocą. Błyszczące czołgi, przystojni żołnierze i piękne pielęgniarki ruszą na Berlin, aby wyzwolić chłopów i robotników z rąk zachodnich kapitalistów. Żadnego rozlewu krwi, żadnych strat, jedynie bohaterstwo i chwała przyszłych zwycięstw.

Brzemienny w skutkach okazał się fakt, że propagandę przełożono na prawdziwe plany strategiczne. Od 1937 roku czołowe stanowiska wojskowe objęli ludzie Stalina, wybierani z powodów politycznych. Brakowało im kompetencji w kwestiach militarnych. Dawne, liczne plany obronne zastąpiono nowymi

strategiami ofensywnymi. Zmienił się też punkt ciężkości szkolenia, które nie przygotowywało już więcej do długotrwałego stawiania oporu na własnym terytorium, a do natarcia. Zminimalizowano również ćwiczenia z walki partyzanckiej. Zakładano, że przeciwnik zostanie pokonany na jego własnej ziemi. Już wkrótce miało się to okazać fatalnym błędem.

DO WOJA MARSZ!

Tymczasem na rosyjskiej wsi, z której pochodziło 3/4 rekrutów, pobór postrzegany był jako dopust boży na równi z głodem, bezdzietnością czy chorobami. Jednocześnie stanowił on nieodłączny element chłopskiego życia, który obrósł też własnymi tradycjami. W 1939 roku wiek poborowy wynosił 19 lat. Corocznie proces wcielania do armii trwał od dwóch do trzech miesięcy. Każdy okrąg miał swoją komendę uzupełnień, której pracownicy odsiewali niezdolnych do służby oraz rozpatrywali prośby o odroczenie poboru. Oprócz tego sprawdzali akta milicji, ponieważ wrogom ludu nie można było powierzyć broni. Wśród zaciąganych do armii zdarzały się jednostki dumne z powołania, a nawet ochotnicy – w końcu wojsko miało być przygodą, testem męskości, być może też szansą na pewną poprawę bytu. W pozostałych przypadkach jednak matki płakały, mężczyźni pili, a świeżo upieczony rekrut pakował bieliznę, odrobinę cukru czy tytoniu w tobołek i na pół przytomny po tradycyjnej, kilkudniowej libacji ruszał w drogę – czasami pociągami, choć zwykle, z braku lepszej możliwości, piechotą. Państwo nie przeciwstawiało się pijaństwu poborowych. Alkohol zabijał strach łatwiej niż musztra czy wykłady polityczne, a poza tym półżywy chłopak miał mniejszą szansę uciec przed poborem gdzieś po drodze.

Rekruta zabierano do łaźni, jego ubranie dezynfekowano, głowę golono mu do gołej skóry, a całości dopełniał wykład polityczny. Następnie rozdzielano mundury oraz bieliznę – podkoszulek i kalesony. Świeżo upieczony żołnierz dowiadywał się, że raz na jakiś czas – byle nie za często – może oddać tę

bieliznę do prania i w zamian otrzyma świeży komplet. W praktyce zaś rzadko kiedy otrzymywał potem na powrót swój przydział, czy w ogóle jakąkolwiek skompletowaną bieliznę. Nie używano skarpetek, chyba że ktoś przyniósł swoje. Na ich miejsce stosowane onuce – rodzaju pasa materiału, który obwiązywano wokół nogi. Onuce były bardziej problematyczne i czasochłonne od skarpet, ale za to uniwersalne i tańsze. Jedna z weteranek wspomina: „Tylko dzięki onucom nasze buty na nas pasowały. I tak cieszyliśmy się, że w ogóle mamy buty”. Karabiny i amunicja były tak cenne, że rozdawano je dopiero przed prawdziwą walką, a ćwiczone z reguły drewnianymi atrapami.

Nie tylko zaopatrzenie, ale również wyżywienie było delikatnie mówiąc złe. Pewien żołnierz pisał: „Żarcie jest okropne. Na obiad zawsze dostajemy obrzydliwy kapuśniak, ale chleb jest jeszcze gorszy: czarny jak ziemia i zgrzyta między zębami”. W styczniu 1939 roku odnotowano pięć strajków głodowych, związanych z niezjadliwym jedzeniem w kuchni wojskowej, oraz siedem przypadków zatrucia żywnością. W najgorszym z nich z powodu zepsutej ryby 350 osób musiało zostać odesłanych na leczenie do szpitala. W zupach znajdowano zdechłe myszy, w mące – piasek, w herbacie – szkło. Trafiano nawet na żywe robaki! Ciepłe napoje nieraz parzono ze słonawej wody, co powodowało biegunkę. Kucharzy oskarżano też o lewą sprzedaż mięsa, którym mieli okraszyć zupę. Pewien rekrut z Gruzji zdezerterował po kilku tygodniach, zostawiając wiadomość: „Wracam w góry jeść doskonałe gruzińskie potrawy i pić nasze wino”.

Aby poprawić sytuację żołnierzy i wspomóc krajowe rolnictwo, armię zaprzęgnięto do prac rolnych. Dosłownie „zaprzęgnięto”, ponieważ wojskowi zastępowali nie tylko rolników, ale często i zwierzęta pociągowe. W zamian mieli szansę się najeść. Działalność rolnicza zajmowała dużą część czasu, którą rekruci powinni byli poświęcić na szkolenie. Również liczne i ciężkie do zniesienia wykłady polityczne zabierały im cenne godziny

dnia. Kadrze oficerskiej także brakowało doświadczenia, a przede wszystkim autorytetu wśród żołnierzy. By zapłacić braki po czystkach, rozkazano na przykład dziesięciu tysiącom młodzików bez promocji objąć stanowiska w armii. Niekompetentny, młody oficer, który obejmował kompanię złożoną z trzydziestolatków narażał się nie tylko na kpiny. „Jeśli pošlę mnie na front, ukryję się w krzakach. Nie będę walczył, ale strzelał do takich ludzi jak dowódca naszej jednostki Gordienko” – pisał jeden z wcielonych do wojska. Nie tylko niekompetentnym, ale i nielubianym dowódcą w czasie pierwszego natarcia realnie groziła kula w plecy od własnych żołnierzy.

KATASTROFA POCZĄTKU WOJNY

Ogromne straty i chaos w początkowych tygodniach wojny niemiecko-radzieckiej były wynikiem między innymi rosyjskiej polityki nieprovokowania przeciwnika i opóźniania rozpoczęcia działań wojennych. Gdy generałowi Pawłowowi, naczelnemu dowódcy Specjalnego Zachodniego Okręgu Wojskowego na Białorusi dostarczono informacje o ruchach nieprzyjaciela i pierwszych strzelaninach na granicy, znajdował się on właśnie w teatrze. „To nie może być prawda” – skwitował i zajął się sztuką. Wojsku już wcześniej nakazano zachować spokój. Gdy w miejscowości Kodeń pilnujący mostu rosyjscy pogranicznicy zostali wezwani przez stronę niemiecką, żeby przedyskutować „ważne sprawy”, posłusznie stawili się, po czym pozabijały ich serie z karabinu maszynowego. Po przedstawieniu Pawłow wraz ze swoim sztabem udał się na naradę. Oficerowie raportowali kolejno o stanie swoich oddziałów. Braki w zaopatrzeniu, paliwie i amunicji, rozproszenie jednostek z powodu ćwiczeń, niedostateczny lub źle zorganizowany transport to obrazy, jakie wyłaniają się z tych raportów. Kolej nadal kursowała według porządku pokojowego. Słowem – strona rosyjska udawała, że wojna jeszcze się nie rozpoczęła.

Zbiegiem okoliczności około godziny 3:30, czyli w chwili rozpoczęcia operacji Barbarossa, do Pawłowa zadzwonił z Moskwy

komisarz obrony Timoszenko. Zapytał „co nowego”? Pawłow odparł, że sytuacja się nie zmieniła. W tym samym czasie płonęło już kilkanaście nadgranicznych miast. O 5:30 niemiecki ambasador dostarczył Wiaczesławowi Mołotowowi wypowiedzenie wojny. Do tego momentu wojska Pawłowa były atakowane przez trzynaście dywizji piechoty i pięć pancernych, które dodatkowo wspierały artyleria i lotnictwo. Brak przygotowania i dezinformacja wprowadziły chaos w szeregach radzieckich. Wojska broniły się bez większego skoordynowania, szybko były okrążane i rozbijane. Niszczono całe duże jednostki. Pawłow opowiadał, że o siódmej rano „Kuzniecowa poinformował mnie z drżeniem w głosie, że z 56. Dywizji Strzelców pozostał jedynie numer”. W obliczu takiej tragedii żołnierze zaczęli dezercerować i uciekać (żadnego rozkazu do odwrotu nie było). Uciekali również dowódcy. Liczba zbiegłych z linii frontu Rosjan, z powodu wielkiej ich ilości nie była znana. Często wyłapywali ich Niemcy lub NKWD. W obu przypadkach los dezercerów był nie do pozazdroszczenia.

W kolejnych tygodniach Armia Radziecka toczyła dalej beznadziejne walki. Morale było niskie, żołnierze cierpieli od głodu i ran, a także doskwierały im pierwsze makabryczne wspomnienia z frontu. Dzień po dniu dowódcy, z braku lepszego planu, posyłali ich do frontalnych szturmów, które stawały się prawdziwą hekatombą w obliczu przewagi technicznej wroga. Bardzo rzadko do ich dyspozycji była jakakolwiek broń poza podstawowym karabinem i bagnetem. Przeciw czołgom zwykły piechur nie mógł użyć nawet osławionych koktajli Mołotowa, ponieważ nie było jeszcze rozkazu, dzięki któremu kobiety zaczęły masowo je wyrabiać.

PIEKŁO FRONTU WSCHODNIEGO

Te kilka wyżej wymienionych obrazów Armii Czerwonej to tylko kropla w morzu cierpień szeregowych radzieckich żołnierzy i ich dowódców w czasie II wojny światowej. Były przecież jeszcze osławione Stalingrad i Sewastopol. Była pochłaniająca niezliczenie wiele ofiar bitwa na łuku Kurskim. Była też

wreszcie wielka liczba wszystkich innych walk i trudów życia na bezdusznym wschodnim froncie, przez które musieli przejść sowieccy żołnierze. Bardzo nieliczni z weteranów roku 1941 mieli szansę oglądać Berlin. Myśląc o zbrodniach radzieckich, nie zapominajmy też o niezliczonych krzywdach, które stały się doświadczeniem samych żołnierzy oraz ich rodzin w Rosji. Wojna zawsze jest wielką tragedią dla ludzi po każdej stronie konfliktu.

Autorstwo: Mateusz Balcerkiewicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Aleksijewicz Swietłana, „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, Czarne, Wołowiec 2010.
2. Datner Szymon, „Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych w II wojnie światowej”, Wydawnictwo MON, Warszawa 1961.
3. Megargee Geoffrey P., „Front Wschodni 1941. Wojna na wyniszczenie”, Świat Książki, Warszawa 2009.
4. Merridale Catherine, „Wojna Iwana Armia Czerwona 1939-1945”, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2007.